

WIT
SZOSTAK
OBERKI DO KOŃCA ŚWIATA

WIT

SZOSTAK

OBERKI DO KOŃCA ŚWIATA

KONTRAPUNKTY



powergraph

Warszawa 2014

Copyright © 2007-2014 by Wit Szostak
Copyright © 2014 by Powergraph
Copyright © 1999-2014 for the painting by Andrzej Bieńkowski
Copyright © 2014 for the cover by Rafał Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Korekta: Joanna Mika
Skład i łamanie: Powergraph
Obraz na I okładce: Andrzej Bieńkowski „Pożegnanie Jana Michalskiego” 1999 r.
Projekt graficzny serii i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:
Firma Księgarska Olesiejuk Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością Spółka jawna
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel./fax: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl



Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel./fax: 22 834 18 25
powergraph.pl
sklep.powergraph.pl
e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-64384-31-8
Printed in Poland, EU

Przed

1.

Mazurek rokiciński „drogowy” od Józefa Wichra

[wariant I]

Ej, za las, chłopcy, za las, bo za lasem grają.

Ej, bo mi się za lasem panny podobają. Józef Wicher nuci pod nosem tę starą melodię. Siedzi sam w izbie, żona właśnie wyszła do kościoła. Na piecu został czajnik, który prycha wrzątkiem. Pokrywka podskakuje w rytm oberka i w tym podskakiwaniu Józef rozpoznaje starodawnego mazurka. Ile razy go grał? Ile razy słyszał? Teraz siedzi przy stole i patrzy przez pelargonie na widoczny za oknem las. Za ten las chodzili, za tym lasem grali. Józef wstaje i szurając po linoleum, idzie do kuchni, by zestawić czajnik z blachy. Pod stopami skrzypi Bóg wie jak stara, Bóg wie jak zniszczona, wysłużona podłoga. Wracając, bierze skrzypce. Przez chwilę je ogląda,

przejeżdża palcami pod strunami, po zastygłej warstwie kalafonii. Gładzi poobijane brzegi, dostraja struny i zaczyna grać.

Ej, za las, chłopcy, za las, bo za lasem grają.

Ej, bo mi się za lasem panny podobają. Tak gra, tak grali. Przed laty, gdy chodzili muzykować. Józef Wicher chodzi ze skrzypcami po izbie. Grając, wspomina te wyprawy, te mazurki drogowe, niosące się po polach do sąsiednich wsi. Wreszcie odkłada skrzypce i podśpiewując pod nosem, sięga po zdjęcia, starannie poukładane w blaszanej puszcze po słodyczach. Przerzuca kolorowe zdjęcia dzieci i wnuków i dociera do starych, połamanych i wyblakłych fotografii sprzed lat. Znajduje jedną, zrobioną latem roku 1938. Jest na nim razem z bratem Franciszkiem i z Antonim Strycharzem. Pamięta tę chwilę jak dziś. Bo na tym zdjęciu muzykanci grają właśnie tego starodawnego mazurka.

Ej, za las, chłopcy, za las, bo za lasem grają.

Ej, bo mi się za lasem panny podobają. Stali na polnej drodze, na skraju Rokicin. Szli na pograjkę do Prawsi, która wprawdzie nie leżała za lasem, lecz na jego skraju. Szli i skracali sobie drogę, grając. A ich muzyka niosła się po polach. Teraz przystanęli, by dać się sfotografować. Stali więc i patrzyli w obiektyw. Józef nie pamiętał już, kim był fotograf. Czy to ten kulawy, z Odrzywołu, czy raczej ten chudy z wężem, który miał zakład w Przysusze?

Za każdym razem zadawał sobie to pytanie i za każdym razem kapitulował.

Ej, powiedzcież mi, chłopcy, co się z wami stało?

Czy lat przeszło za dużo, czy może za mało? Zdjęcie jest formatu pocztówkowego, z wycinanymi w ładny wzorek krawędziami. Widać na nim trzech młodych chłopców. Ten stojący w środku jest nieco wyższy i starszy od pozostałych. Ma około dwudziestu lat i gra na skrzypcach. Oczy śmieją mu się do obiektywu, a na czole łobuzersko odwija się niesforna fala. To Franciszek Wicher, starszy brat Józefa. Franciszek gra na skrzypcach, które kupił przed kilkoma tygodniami od starego muzykanta w Kamiennej Woli. Jeszcze nie są dobrze rozegrane, jeszcze się ich uczy. Nie widać tego na zdjęciu, ale na ich tylnej ścianie Franciszek wyrył swoje inicjały i datę: 38. Dwaj pozostali młodzieńcy to Józef, ten z bębniem po prawej, i Antoni Strycharz, który pali papierosa, trzyma ręce w kieszeniach i patrzy gdzieś w bok. Józef jest w pożyczonej od ojca czapce maciejówce, trochę za dużej i przez to opadającej na ucho. Skupiony na bębnieniu, przejęty fotografowaniem, ma poważną minę. Śmieszna jak na swój wiek. Po lewej stronie zdjęcia widać uciętą przez fotografa bieloną kapliczkę. Tę, która poświęcona świętemu Antoniemu strzeże drogi do Rokicin, by nikt i nic nie uległo zagubieniu. Od kapliczki prowadzi wąska ścieżka, ale jej na zdjęciu nie widać. Widać natomiast stojącą przy jej końcu zagrodę, wycofaną aż po sam las. Las

jest sosnowy, choć na zdjęciu to tylko zamazana ciemna linia u góry. Właśnie na jej tle widać strzechę domu, który nie tak dawno należał do kowala Wojciecha. W prawym górnym rogu ta linia drzew nagle się urywa i widać tam rozmazaną, podłużną plamę. Niewielu wie, czym była w trzydziestym ósmym. Ale Józef dobrze pamięta, że to dom Tomasza Kobieli, diabelskiego muzykanta, którego wszyscy podejrzewali o zażyłe kontakty ze złym. Teraz tej zagrody już nie ma i poza Józefem niewielu pamięta, gdzie stała i kto w niej mieszkał. I to całe zdjęcie. Tylko tyle, ale dla Józefa to cały świat. Odchodzący świat ostatniego pokolenia wiejskich muzykantów. Ulepiony wokół ludzi, pełen łączących ich nici. I jednocześnie pokruszony na trudne do scalenia kawałki, które nie chcą pasować do żadnej całości. Świat pełen opowieści i cichych, dogasających w samotności dramatów. To zdjęcie przypomina mu stare historie. Historie tych trzech chłopaków, ich przyjaźni i wzajemnych losów. Historie miejsc, których już nie ma, albo które dawno zmieniły swój sens. Historie przedmiotów. Pylista droga, którą chłopcy mają pod stopami, prowadzi w stronę ich rodzinnej wsi, Rokicin. To na prawo. Z kolei idąc w lewo i mijając kapliczkę, można dojść do Kadzidła, gdzie stoi parafialny kościół i gdzie na cmentarzu leżą całe pokolenia rodu Wichrów. Polna ścieżka, która skryła się za plecami Józefa, ma zaprowadzić młodych muzykantów do Prawsi na pograjkę. A w następnym roku będą do tej wsi wracać często i Józef,

i Franciszek. To zresztą ostatnie zdjęcie, na którym Franciszek się uśmiecha. Na kolejnych jest poważny, skupiony i nie patrzy w obiektyw.

Ej, powiedzcież mi, chłopcy, co się z wami stało?

Czy lat przeszło za dużo, czy może za mało? Józef widzi to zdjęcie jako fragment mapy swojego świata. Z poźółkłego obrazka wybiegają ścieżki we wszystkich kierunkach. Nie tylko w stronę Rokicin, Kadzidla i Prawsi. Ale także ku przeszłości i przyszłości. Kiedy robiono to zdjęcie, wszyscy trzej jeszcze się przyjaźnili. Nie było między nimi tego, co ich potem oddali od siebie. Antoni jeszcze nie wie, że kiedyś śmiertelnie obrazi jednego z ciotecznych braci, co zakończy nie tylko ich wieloletnią znajomość, ale i wspólne granie. Franciszek z Józefem jeszcze nie znają przyczyny, która ich poróżni. Nie wiedzą też, że spotkają ją właśnie w Prawsi, choć nie na tej pograjce. Na te tańce zresztą nigdy nie dotrą. Z połowy drogi zawróci ich pożar, który, przyczajony, wybuchnie w Rokicinach. Biegiem wrócą do rodzinnej wsi, by ratować przed ogniem stodołę sąsiada. Dach wprawdzie spłonie doszczętnie, ale zgromadzone zboże zostanie uratowane. Będą siedzieć po wszystkim na trawie, osmaleni i zmęczeni, nawet nie żałując, że przepadła im zabawa. A z nią na pewno jakieś pieniądze za granie.

Ej, chodźcie, muzykanci, chodźcie, chłopcy, za las.

Ej, bo panny nie będą długo czekać na was.

Ej, chodźcie do nas, chłopcy, chodźcie ze skrzypcami.

Ej, chodźcie do nas, chłopcy, chodźcie z oberkami

Pozwolimy wam tańczyć z pięknymi pannami. Tak, przepadła tamta zabawa. Ale było wiele innych. Jednak nie o nich myślał Józef Wicher, wpatrując się w zdjęcie sprzed lat. Patrzył na dwa rozmazane domostwa. Wspominał swoje do nich wyprawy. Kilka lat wcześniej, przed zrobieniem tego zdjęcia, Józef z bratem i z Antonim wyprawili się do domu po kowalu Wojciechu. Mieli po kilkanaście lat i serca waliły im jak dzwony kadzidłańskiego kościoła. A było się czego bać. Szli przecież do domu, w którym powiesił się człowiek. Józef pamiętał, jak wypychali do przodu Franka, bo był najstarszy. Jak chyłkiem przemykali pod stodołą, bojąc się przejść przez środek podwórka. Jak zaglądali przez okna, jakby chcąc sprawdzić, czy duch Wojciecha nie przechadza się po izbie. A potem weszli przez niechcące łatwo ustąpić drzwi i zobaczyli pod powałą odcięty sznurek. Zobaczyli jego postrzępiony, konopny koniec, który pozostał po tym, jak ich ojcowie odcięli ciało Wojciecha. Józef pamiętał też, jak trwożliwie myszkowali po izbie, jak zaglądali do szafy i kufrów. Jak zeszli do piwniczki pod kuchnią i jak przedzierali się przez lepkie pajęczyny. Jak z Antkiem chcieli się wycofać na podwórko i tam, w świetle słońca lękliwie czekać na odważniejszego Franka. I jak starszy brat powstrzymał ich haniebną ucieczkę. I pamiętał, jak znaleźli w jednym ze słoików garść carskich monet, jak znaleźli resztki pisanych cyrylicą dokumentów.

Jakieś kwity pożyczkowe, jakieś świadectwa, jakieś akty. I były też tam polskie monety, dwadzieścia srebrnych dziesięciozłotówek, pewnie odkładanych przez Wojciecha na czarną godzinę. I jak zabrali ten skarb, a potem w pełnym słońcu dzielili go między siebie, dumni ze swej odwagi. Wtedy to Antek poprosił, by bracia Wichrowie pozwolili mu wziąć polskie pieniądze, jedyne, które były coś warte. Rozpłakał się nawet i tłumaczył, że wtedy będzie mógł odłożyć na harmonię. A Wichrom harmonia niepotrzebna, przecież są z rodu skrzypków. I zgodzili się bracia i zatrzymali bezwartościowe kopiejki i papiery po kowalu. Józef przypomniał sobie, że w chwili, gdy kilka lat później wędrowny fotograf uwiecznił ich na drodze do Rokicin, Antoni Strycharz krzyknął do niego, nie wyciągając papierosa z ust, przyjeżdż pan za rok, dwa, a sfotografujesz mnie z harmonią, nowiutką!

Nie będziemy zachodzić za las ze skrzypcami.

Nie będziemy zachodzić do was z oberkami.

Wy tańcować będziecie, my grać pod ścianami.

Wy bawić się będziecie, my stać pod ścianami. I nie dotarli tego dnia na zabawę do Prawsi. A skoro nie dotarli, to zabawy pewnie nie było, bo trudno się bawić bez muzyki. Ale Józef pamiętał, że prawie do Prawsi doszli. Że już zbliżali się do zagrody Tomasza Kobieli, diabelskiego skrzypka, którego się w okolicy bano. Bano się go na wesela prosić i bano urazić, nie prosząc. I Józef uśmiechał się nad fotografią, wspominając lanie, jakie

dostał od ojca, kiedy, zamiast uczyć się Wichrowych oberków, zachodził do Kobieli po diabelskie. Tomasz pokazał mu jeden czy dwa, Józef w lot złapał, miał przecież dziedziczne, muzykanckie ucho. A potem ćwiczył za stodołą, u siebie, w Rokicinach. Podczas obiadu ojciec nic nie mówił, a przecież zawsze był wesoły i dużo opowiadał. A potem tylko powiedział synowi, albo będziesz grał po Bożemu, nasze stare oberki, albo idź sobie do tego diabła. Ale żebyś potem nie wracał. I Józef wiedział, że z diabelstwem żartów nie ma. Do Kobieli już nie poszedł, nauczony świeżo oberek zarzucił i wrócił do Wichrowego grania. I tak już miało zostać. Józef patrzył na zdjęcie i uśmiechał się do własnych wspomnień. A te wesołe przeplatały się ze smutnymi. I wszystkie one pochodziły ze starej fotografii.

Ej, za las, chłopcy, za las, bo za lasem grają.

Ej, bo mi się za lasem panny podobają.

2. Oberek rokiciński „starodawny” od Józefa Wichra [wariant I „weselny”]

Józiu, czemuś smutny, zamiast się radować?

Za to szczęście winienesz Bogu podziękować. To było jego pierwsze wesele, pierwsze, na którym grał na skrzypcach. Zawsze albo bębnił bratu, albo zastępował ojca, kiedy ten odpoczywał. Należał Józef do muzykanczego rodu Wichrów, do rodu, gdzie skrzypkowie od pokoleń przygrywali w okolicach Rokicin. I był najmłodszym z trzech synów Jakuba Wichra. Ostatnim w kolejce, takim, co na granie miał małe szanse. A teraz była okazja, by się pokazać, okazja, by zagrać przed całą wsią. Marzył o niej, zawsze chciał pokazać ojcu i braciom, że też potrafi, że nie na darmo się uczył, że godziny ćwiczeń przekuły się na umiejętność, że ma w palcach dziesiątki

starodawnych oberków i ogrywa je nie gorzej niż którykolwiek z pozostałych Wichrów. A teraz ani bracia, ani ojciec grać nie mogli. Ale Józef się nie radował. Bo dzień, który miał się stać jego największym szczęściem, stał się dniem jego największej tragedii. I z każdą chwilą nieuchronność tej tragedii potężniała, i młody Józef nie miał już w sobie nadziei. Patrzył na pannę młodą, patrzył, jak wiruje, przekazywana od chłopaka do chłopaka. Patrzył, jak kręci się w rytm jego muzyki, jak obracają się wokół jej jasne warkocze, jak drżą płatki w jej kwietnym wianku. Widział jej nieobecne, skupione na rytuale oczy. Panna młoda była przekazywana kolejnym tancerzom, z każdym przekazaniem zbliżała się do czekającego przy drzwiach pana młodego. Już opuściła swoją rodzinę, już tańczyła z krewnymi młodego, już była blisko niego. Józef widział, jak jej pierś faluje od przyspieszonego tańcem oddechu, widział jej oczy, nieobecne i bezwiednie omiatające izbę. I grał pięknie młody Józef Wicher, i z każdym pociągnięciem smyczka zaciskał zęby, by się nie rozplakać. A każde pociągnięcie smyka, każdy dźwięk rzucony pod stopy tańczących, każde brzmienie przydeptywane butami panny młodej przybliżało jego nieszczęście.

Józiu, czemuś smutny, zamiast się radować?

Za to szczęście winienes Bogu podziękować.

Grał na jej weselu, choć ją chciał poślubić.

A odtąd swą bratową może tylko lubić. Józef Wicher grał i patrzył, jak dziewczyna, którą kocha, wychodzi za innego. Widział ją w tańcu i nic nie mógł zrobić, mógł tylko grać, mógł grać najlepiej. I widział, jak Maria zbliża się do jego brata, Franciszka, widział, jak Franciszek czeka. I widział, że Franciszek też oczy ma lekko zamglone, jakby nie cieszył się swym szczęściem. I wiedział Józef, że pozostali weselnicy nie zauważą tego, co dokonuje się teraz pomiędzy Franciszką, Józefem a piękną Marią. Wiedział, że ten dramat muszą przeżyć sami, każde po swojemu. Józef grał, bo tylko on mógł. Franciszek właśnie się żenił, Jakub był ojcem pana młodego i nie wypadało, by przygrywał. A Jan, pierworodny syn Jakuba Wichra, od kilku lat nie żył. Wichrowie nie chcieli na swoich weselach obcych muzykantów, nie chcieli, by ktoś wkradał się do ich rodziny i kaleczył odwieczne rytuały nieudolnymi, bo nie Wichrowymi oberkami. I tak padło na Józefa. I grał, bo musiał grać, i grał, choć to on chciał tańczyć i czekać na roztańczoną Marię, czekać pod drzwiami na miejscu Franciszka. Ale los inaczej się potoczył, wyrzucił Józefa ze swych torów. I w samotności weselnego oberka Józef przeżywał swoją największą tragedię.

Grał na jej weselu, choć ją chciał poślubić.

A teraz swą bratową może tylko lubić. Już kolejny z gości weselnych tańczył z Marią. Już coraz bliżej było chwili, gdy Maria trafi w ramiona Franciszka. Józef grał

i jedyne, co mógł zrobić, to grać najpiękniej. Już było po wszystkim. Maria spotkała się z Franciszkiem, wymienili spojrzenia. Franciszek wyciągnął ku niej ręce i spleli się w rytualnym tańcu. Tańcu, który możliwy był dzięki grze Józefa. Ale nie tańczyli jak młode pary na weselach. Tańczyli sztywno, jak kukły. Nie uśmiechali się do siebie, nie patrzyli sobie w oczy. On, z perełkami potu na czole, toczył wzrokiem po ścianach. Ona, w przekrzywionym wianku, z którego wypadły pojedyncze gałązki ruty i rozmarynu, wzrok miała utkwiony w ramieniu pana młodego. Okrążali salę, podrywani do następnego obrotu kolejnym zacięciem smyka. Oberek nie chciał się skończyć, Józef grał kolejne kolana, jakby miał nadzieję, że młodzi jednak się rozejdą, że rozluźnią uścisk i każde pójdzie swoją drogą. Jakby miał nadzieję, że przedłużając grę, podsyca swoje szanse. Ale te szanse topniały z każdą chwilą. Wreszcie taniec dobiegł końca i nie dało się go dłużej przeciągać. Józef wziął ostatni akord, bębniista hałaśliwie zakończył bębnienie, dając młodej parze czas na zwolnienie tempa. Maria i Franciszek usiedli na wspólnym miejscu, czekającym na nich od początku wesela. Kolejna brama została przekroczone.

Grał na jej weselu, choć ją chciał poślubić.

A teraz swą bratową może tylko lubić. Kolejne nadzieje legły w gruzach. Upadł i Józef, osuwając się ciężko na stojącą pod oknem ławę. Obok niego dyszał Stefan Konopka. Zmęczony odstawił bęben w kąt. Cykacze